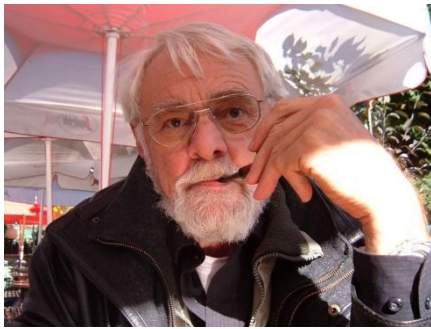


Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

Kris (2)

Tego samego dnia rozpakował z pudła gitarę i siedząc na chwiejącym się, kulawym zydłu, gładził ją pieszczotliwie długą chwilę. Odkąd tu się znalazł, gitara leżała w kącie i nie zagrał na niej ani jednej nutki. Zresztą jego gospodarz nie wyrażał na to żadnej chęci. Teraz wziął ją w swoje ręce od niego, chwilę się jej przyglądał, a potem zaczął brzdąkać, nucąc pod nosem i przy okazji kalecząc angielski. Być może chciał w ten sposób go zachęcić do jakiegoś popisu, podając mu gitarę: – Pokaż, co potrafisz, Kris, wyjął ją z siebie. Właśnie wtedy miał w uszach piosenkę, którą śpiewał Armstrong – „Moon River”, song afrykańskich niewolników z południa Ameryki – Alabamy i Luizjany. Fascynowała go odkąd pamiętał siła jego głosu, potężna i o wielkiej skali tonów wydobywających się równocześnie z jego złotej trąbki. I zaśpiewał ten wspaniały song. Tamten słuchał z przejęciem i długo się nie odezwał, a potem wydusił z siebie: – Cholera, masz ten głos w sobie! I twoja gitara brzmi dumnie niczym trąbka Armstronga, choć dawno jej nie stroiłeś. To jest chyba to, czego spodziewałem się po tobie, chłopie. Zaśpiewasz mi jeszcze? Chodzi mi po łepetynie Paul Robson... Słuchałem go tu bez końca, a potem sprzedawałem płyty, bo nie miałem z czego żyć. Ta jego pieśń wrosła się we mnie tak głęboko, że trudno mi to wypowiedzieć i żeby nie wyszarpać z siebie tego, co czuję. Byłem tu na początku też jak jakiś niewolnik... Są, artyści nieśmiertelni, Kris. Pewnie dlatego, że kochają całym sercem to, co robią. I naród, ich kocha za to.

Nie spodziewał się po nim, że może obracać się w sferach duchowych tak bardzo subtelnych. Wydawał mu się zawsze prostym człowiekiem, kumplem od taniego wina i zaczepianych panienek na deptaku. Teraz zobaczył w nim światło tego wyścicia tu z mroku tej piwnicy tak, jak wychodzi się w blasku słońca z jaskini. Objął go i pocałował w czoło: – Nie płacz, staruszk. To nie lży, to wolność od znieczulenia. Masz rzadko spotykany tembr głosu, powinieś tu zrobić nim karierę piosenkarza – powiedział przytulony do niego jak mały chłopiec. – Patrz jaśniej na świat, dodał po chwili.

Wydawało mu się, że w tym momencie jakby przebił ścianę swej samotności, wyrывая się z niej. Spotykając się tu z różnymi takimi samotnikami ogromnej fali emigracji z kraju, wielu z nich było takimi ludźmi żebrzącymi o jakąś ludzką pomoc dla siebie. Czy on też będzie jednym z nich? Czy jednym pocałunkiem, w czoło można przelać litość nad takimi? Nie, nie lubił tego słowa – liść.

Po skromnym śniadaniu wyszli, aby odwiedzić kolejny klub. Najwięcej w Chicago było tych nocnych. Nocą świat rozrywki jest w stu kolorach. Nie widziało się w nich czarnych, jak potocznie wyrażano się tu o Murzynach. On nigdy w życiu nie użyłby tego obraźliwego słowa. Spotykał ich w kraju i kumplował się z nimi. Byli świetnymi muzykami, mając muzykę we krwi. Zdarzało się, że kluby w Chicago angażowały ich na swoich zasadach jeżeli chodzi o pieniądze. Często bywały to mieszane zespoły. Zanosilo się na burze, więc biegli. Czarne pudło gitary miał przewieszane przez ramię i musiał śmiesznie wyglądać. Co zrobiłby świat bez muzyki, tańca i śpiewu, zwłaszcza młodzi ludzie goniący za rozrywką? Znał poetę, który wymyślił powiedzenie: „Bez muzyki wszyscy bylibyśmy zwierzętami, z całym, szcunkiem, dla zwierząt”. Pewnie miał rację. Jego gospodarz miał lepsze rozwiązanie: „Każdy bank po drodze byłby obrabowany, jak robił to All Capone, chociaż miał lepszy interes na handlu alkoholem w czas prohibicji”.

Wiele naszych muzyków, których poznałem grając z nimi, opowiadał mu gospodarz, oprócz grania i śpiewania, potrafiło jeszcze pić ponad miarę. Szkoda, bo pijani chodzili po dachach i często spadali na łeb, jak ostrzelane gołębie. Przeważnie byli to ci, których właściciele klubów wyrzucali z pracy za pijackie ekscesy. Psuli renomę klubu. W ten czas komuny, w kraju było mało nocnych lokali i trudno było wyżyć z pisania kompozycji, tekstów, trudno nawet było myśleć i czuć kim się jest. Każdy intelektualny odruch, każdy impuls, był poddawany cenzorskiej ocenie. Nic też dziwnego, że głowa czy ręka napotykała na opór.

Do tej pory byli w trzech lokalach, trafiając na próby zespołów. Drzwi były otwarte i należało coś zamówić. Robił to jego towarzysz, bo pieniądze dawno mu się skończyły. Słuchając muzyków, widział zatrzaśnięte żrenice ich oczu i zatrzaśnięte usta, kiedy zobaczyli go z gitarą. W przerwach wszystko, czego nie powiedział im o sobie, dopowiadali prześmiewczo, a przecież to byli rodacy. Jeden z nich wytknął mu, że chodzi z gitarą pod ręką, jak z czarną mogiłą. – Co chcesz tu robić, śpiewać? To nie dla ciebie, mamy już komplet, spadaj!

Wyszli, nie odzywając się do siebie. Nie zniechęcał się, podbudowywany przez gospodarza. Kim tu był, takim przewodnikiem dla takich jak on? Ale w dwóch następnych lokalach też reagowano impulsywnie i tego rodzaju spotkania też zamieniały się w najgorszej klasy pogrzeb. – Dziś zaprowadzę cię do budy, gdzie jakiś czas grałem na pudłach. – Czy twoi znajomi są tacy sami, jak ci dotąd spotkani? – Bez obaw, są inni. – Mam się do nich przyczołgać, paść na kolana?

– Wiem, że po to tu jesteś i że zależy ci na tym, więc się nie odcinaj, zrób się na pokaz, bo jesteś dobry. Wyluzuj. Poznałem, to na sobie, bo też słyszałem parę razy, znikaj stary, my tu gramy. Tak odzywają się zawsze najlepszym, którzy mogą przeskoczyć tych dobrych. Więc szedł z nim chociaż czuł, że znów spadnie mu cukier. Słyszał gdzieś w sobie to, co o nim mówiono i co pisało: „Ma wyjątkowe walory wokalne. Jego głos jest rozpoznawalny. Osobowość wielkiego formatu. Cholera, jeżeli już tak jest, to czy wszyscy tutaj są głusi, ślepi i głupi? Będzie coraz gorzej z tym światem rozrywki. Charyzma osobista i sceniczna, słyszał dalej w swojej głębi, choć nie chciał tego słyszeć. Ta jego muzyka będzie kiedyś miała swe miejsce w kulturze narodowej. Pierdoły i Tfu! Wy wiecie swoje, a ja

swoje. Ten świat przez piosenki nabiera barw, bo jest cały szary i nijaki.

Lokal, do którego teraz weszli, był nastrojowo weselszy od innych ponurych bud. Kiedy gospodarz, tak go już nazywał, przedstawił go szefowi, ten zapytał, czy miał w Polsce jakiś swój zespół. – Nie, odparł, zespół miał mnie. – Trochę tu słyszeliśmy, to „Trubadurzy”.

Tamten patrzył mu bistro w oczy. Był chyba na haju i dlatego czuł się, jakby był na jakimś egzaminie. – Ale ciebie nie znam, nie słyszałem, tu w zasadzie słyszy się wszystko, tylko nic z Polski. Zadupie. Nie dziw się, że cię nie znam. Masz teraz okazję do tego – odparł nie unikając jego wzroku. – Kto w takim razie może za ciebie poręczyć, ten żul? – mówiąc to, wskazał na gospodarza. – Może to zrobić tylko mój głos. – Jeżeli myślisz, że pozwolą ci tu coś zrobić w piosence, to się mylisz. Pewnie chciałbyś wejść do Klubu Harvardzkiego, albo zostać takim polskim Frankiem Sinatrą, to grubo się mylisz. On cię tu przyprowadził, ten absztyfikant? Właśnie go wywaliliśmy z zespołu, a teraz wspiera ciebie...

Zobaczył, jak jego towarzysz wymyka się z tego miejsca, ale nie mógł go zatrzymać. Przecież nie trafi potem do tej jego piwnicy. – Ty też nie wyglądasz najlepiej w tym krawacie. Umiesz szyć?

Rozległy się chichoty tych z zespołu, cały czas towarzyszących szefowi. Jego prześmiewczy ton mierzył.

– Szefie, przecież jest moda na krawaty. Powinieneś i nas wstroić! – Gdybyś umiał szyć, mógłbyś na tym zrobić, chłopie! Znów ten „chłop”. – A wiesz, jak wzbogacił się Churchill? On sprzedawał krawaty, wtrącił inny.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. – Związałeś z kraju, chcesz zarobić szmal i wrócić do tego gówna! Stań tam i zaśpiewaj to. Zaśpiewam coś swojego. Chcecie posłuchać?

Gitara była nieco rozstrojona. Kiedy śpiewał, włączył się perkusista, potem inni. Myślał o innej piosence, ale szef warknął, żeby przestał.

– Należy używać gitary gładko, pieszczotliwie, nie szarpać strunami jak to robisz. To brzdąkanie. Ma iść za twoimi palcami gładko, ze smakiem tak, jak pali się cygaro – mówiąc to, wyjął z kieszonki koszuli grube cygaro, wypuł mu pod nogi odgryzioną końcówkę i jeden z muzyków usłuźnie mu podpałił zapalniczką.

– Kiedy zapytałem, kto może cię przedstawić, powiedziałeś... mój głos. To mi się podobało. I dałeś głos. Wyszło nieźle. Życie jest serią przygód i pomyłek. W mojej tancbudzie śpiewamy tylko po angielsku i tylko tutejsze kawałki. Po polsku śpiewamy od czasu do czasu, na tych naszych płaczkach narodowych. Tu masz nasz obecny repertuar i przystosuj niektóre kawałki do siebie. I nie tylko te, którym dasz radę. Musisz złapać kogoś, kto podreperuje twój angielski. Na początek masz tu na bilet miesięczny na metro. Mieszkasz gdzieś w centrum? Nie, gdzieś na boku i pod ziemią, w jego piwnicy. Możesz kimać tu, dam ci taki ką. Będziesz opłacał czynsz, sprząając tu po każdej imprezie. Musisz dopasować się do chłopaków i mas robić to, co ja ci każe, bo to mój interes, a ty masz robotę. Idź i wystrzel ręce na wiwat...

Trzymał w ręce wymiętoszony plik jednoderówek i myślał o tym, co powiedział mu gospodarz: „Pieniądze są tu bogiem. Liczy się tylko to, ile masz w kieszeni...”

Kazimierz Iwosse